

Rówieśnik komputera

Alan
Bielecki

Rówieśnik komputera

Copyright © by LABIRYNTUS, 2013

Władysław usiadł na ławie w kuchni naprzeciw matki we wzorzystej chuście na głowie i zagadnął:

– Mamo... Ja muszę wyjechać.

– Dokąd to synku?

– Do Poznania.

– Na jak długo?

– Już na zawsze.

– Dlaczego? Żle ci tu u nas? Co my bez ciebie zrobimy? Całą wojnę nam tak dzielnie pomagałeś. Bez ciebie byśmy z głodu pomarli – matka była zaskoczona i zmartwiona.

– Co tam. Wtedy to mogłem pędzić i sprzedawać bimber. Teraz to nasz kraj i już nie uchodzi.

– No to zajmiesz się czym innym. Na roli pracujesz.

– Ale wszyscy już dorośli, a ja nie jestem najstarszy i mnie się gospodarka nie należy. Muszę sobie szukać pracy gdzie indziej.

– Ale dlaczego tak daleko?

– To duże miasto, więcej możliwości. Nowoczesna technika, przemysł. To coś dla mnie. Chcę się uczyć. Może będę budował samochody, a może odbiorniki radiowe lepsze niż ten, co złożyłem przed wojną. No i nie będę ukrywał anteny tak jak wtedy, żeby abonamentu nie płacić.

– Jeśli taka twoja wola, to jedź. Ja ci z serca błogosławię. I niech cię Pan Bóg ma w swej opiece.

Ojcowska miłość

Rozdział 1. Chrzczyny w cieniu rzezi

Pewnej zimowej niedzieli ciasno załadowany samochód osobowy marki Warszawa z charakterystyczną kratką pod linią okien ruszył spod kościoła na poznańskim Dębcu, przejechał przez przejazd kolejowy i skręcił w lewo. Wkrótce taksówka powoli mijała dwupiętrowe bloki z czerwonej cegły, rozmieszczone po obydwu stronach ulicy. Bloki były typowe, poniemieckie, ze spadzistymi dachami przykrywającymi poddaszowe drugie piętro, które pierwotnie było przeznaczone na olbrzymi strych, lecz głód mieszkaniowy w całej powojennej historii Polski dawał się również we znaki w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, stąd zbyt obszerne jak na potrzeby zaledwie czterech mieszkań strychy masowo adaptowano na mieszkania.

Kiedy po prawej stronie ulicy bloki się skończyły przechodząc w łąkę, siedzący obok kierowcy Władysław, którego włosy od dnia wyjazdu ze wsi rodzinnej dekadę temu zdążyły się mocno przerzedzić, powiedział:

– O patrzcie, tu po lewej na poddaszu zrobił sobie mieszkanie ten mój kolega Walerek, wiesz mamgo? – i zaraz potem zwrócił się do kierowcy: – Teraz proszę skręcić w lewo pod to wejście – Władysław pokazał bramę z podwójnym podejściem.

– Sie robi szefie – rzucił usłużnie taksówkarz i podjechał tak blisko wejścia, że można się było obawiać, czy uda się otworzyć drzwi taksówki.

Władysław rzucił kierowcy banknot, sprawnie wyskoczył z taksówki i delikatnie odebrał zawiniątko z rąk młodej i pięknej kobiety siedzącej na tylnym siedzeniu pojazdu.

– Uważaj! Dopiero co zasnął – szepnęła kobieta.

– To teraz ja go poniosę, a ty Małgosiu otwieraj nam drzwi – również szeptem odpowiedział jej mąż.

Wkrótce niewielki korowód wspinał się po schodach na drugie piętro. Małgosia z wprawą otworzyła drzwi i po chwili znaleźli się w mieszkaniu na poddaszu.

– Poczekaj, tylko zdejmę płaszcz i buty, i zabiorę go do sypialni – zwróciła się do męża.

– Pomogę ci mamó – powiedział Władysław, gdy Małgosia już zabrała od niego dziecko, i pomógł matce zdjąć płaszcz.

Tymczasem Małgosia przeszła przez półotwarte drzwi na wprost wejścia i skręciła w prawo, otwierając drzwi pchnięciem wolnej ręki. W sypialni skręciła w lewo i ułożyła tobołek z dzieckiem w łóżeczku ze szczebelkami. Zaczęła powoli rozwijać tobołek, z którego wysunął się drzemiący słodko noworodek. Mały poruszył się, ale nie obudził. Matka ściągnęła więc jeszcze czapeczkę z jego główki, wyjęła wszystkie rzeczy, którymi był owinięty i delikatnie okryła go kołderką. Drabinka z jednej strony była obniżona, więc bez trudu delikatnie musnęła ustami policzek malucha. Nagle przypomniała sobie o czymś i już bez zbędnego oglądania się wyszła z sypialni.

W saloniku, na rozstawionych wokół stołu przygotowanego do podania posiłku krzesłach siedzieli Władysław z matką i cicho rozmawiali. Kiedy kobieta zauważyła Małgosię, gestem przerwała rozmowę.

– Ja ci zaraz Małgosiu pomogę w tej kuchni. Ty przecież dopiero co po porodzie.

– Nie trzeba mamó. Ja przez te święta zupełnie doszłam do siebie, a tak się cieszę z tej naszej uroczystości, że nikomu nie dam sobie odebrać przyjemności z jej przygotowywania.

– Dobrze już, dobrze. Widzę, że ten mój Władzio to ma z tobą dobrze, bo mu tak chętnie i zaradnie gospodarujesz.

Ale tego już Małgosia nie dosłyszała, bo udała się do kuchni, a właściwie maluteńkiej kuchenki po lewej stronie

od wejścia do mieszkania. Na wprost znajdował się dwukomorowy zlewozmywak przystawiony do prawej ściany. Z jednej strony ściana była nieco cofnięta, dając nie tylko miejsce na otwarcie drzwi, ale także na rząd półek na różne przybory kuchenne. Za zlewozmywakiem ściana była już charakterystycznie pochylona, zgodnie z linią dachu przykrywającego budynek. Wzdłuż niej, pod tym pochyleniem, biegł blat przykrywający szafki kuchenne, a po przeciwnej stronie, nad kuchenką i koksowym piecem centralnego ogrzewania, wisiały szafki podwieszane.

Małgosia podeszła do kuchenki gazowej i podpaliła zapalką gaz pod garnkami. Następnie odwróciła się i wzięła w ręce misę pełną makaronu. Zdjęła przykrywkę i podążyła z naczyniem do saloniku, gdzie zaczęła rozdzielać makaron na porozstawiane na stole głębokie talerze.

– A ten makaron to kupny jest? – zaciekawiała się teściowa.

– O nie mamo! Na to nas nie stać. Wszystko sama zrobiłam. Jeszcze wczoraj ciasto zagniotłam, a dziś z samego rana wałkowałam je i kroiliłam w paski na makaron – z entuzjazmem mówiła Małgosia zapełniając kolejny talerz.

– A ile jajek dałaś?

– Dwa jajka – odpowiedziała młoda gospodyni przerywając na chwilę rozdzielanie makaronu i zastanawiając się nad tym, jaka ta teściowa wścibska i o co jeszcze zapyta.

– A to lichuteńki będzie. My dajemy zawsze cztery.

– No tak, ale u nas kury po podwórku nie harcują i wszystko trzeba kupować w sklepie, a tam to drogo. Sama mama wie – mówiła, starając się nie dać poznać, że traci cierpliwość do tego wioskowego myślenia starej kobiety.

– A tak... Musicie częściej do nas zaglądać, to se jajek tanio albo i za darmo nabierzecie.

– Na razie nie możemy już jak dawniej, co niedzielę – westchnęła Małgosia.

– No tak. Z małym dzieckiem to nie sposób na motorze jechać, a i dużo ze sobą nie zabierzecie.

– Już ja myślę jak to rozwiązać – tajemniczo wtrącił się syn.

– A co? Przyczepkę sobie dokupisz? To by było całkiem niegłupie – ucieszyła się starsza pani, że jest taka domyślna i nowoczesna pomimo swego wieku i mieszkania na wsi.

– Nie będę tu dużo mówił, ale już mam na oku coś znacznie lepszego – Władysław mówił tak, że podkreślał zainteresowanie obecnymi.

– A co to może być? – zdziwiła się kobieta.

– Jak to co? Samochód! – tryumfująco wtrąciła się Małgosia.

Władysław spojrzął z przyganą na Małgosię, że tak zdradziła jego pointę, ale w końcu uznał, że dobrze wyszło i sam też się uśmiechnął.

– Nie gadajże... A skąd ty na to pieniądze chcesz wziąć? – dziwiła się starsza pani.

– Dostałem z wojska kilka dużych radionadajników do naprawy, a i z telewizorami coraz więcej klientów przychodzi – chępił się sukcesami Władysław.

Tymczasem odezwał się dzwonek do drzwi.

– Witamy! Prosimy do środka – gospodarze uśmiechali się do gości, którzy przyszli pieszo z nie tak odległego w zasadzie kościoła.

– A my wam z serca gratulujemy pierworodnego! – goście składali życzenia.

– Zdejmujcie rzeczy. Tutaj je możecie powiesić – pokazał Władysław wieszak w przedpokoju.

– A ile wy to po ślubie jesteście...? – spytał usiłując sobie przypomnieć Zdzisław, brat Władysława.

– Już prawie dwa i pół roku będzie – zaśmiała się Małgosia.

– No to wam się należy. Wyczekaliście się dosyć, chociaż Władysław od razu po ślubie mieszkanie wam wyszykował.

– Tak od razu to wszystkiego nie było... Oj, było roboty jeszcze, że hej – zamyśliła się Małgosia. – Ale prosimy do pokoju, siadajcie proszę do stołu – zachęciła ruchem ręki, kiedy goście zdjęli już wierzchnie okrycia. Sama jednak udała się do kuchni, wracając zaraz z garnkiem apetycznie parującego rosolu i przystąpiła do nalewania go w głębokie talerze.

– No, ale wszystko własne, oddzielne, centralne ogrzewanie, ciepła woda, same luksusy tu macie – z podziwem kontynuował Zdzisław, kiedy już zajęli miejsca.

– A nie zapominaj, że jeszcze sobie telefon załatwili – odezwała się Wisia, siostra Małgosi.

– Fortunę za niego zapłaciliśmy. Zdarli z nas ostatni grosz za te słupy, co to kabel do nas prowadzi – gderliwie odezwał się Władysław.

– To może nie trzeba go było zakładać, jeśli to taka rozrzutność – wtrąciła matka.

– Ale to potrzebne mojemu warsztatowi, bo na peryferie to mało kto trafi, a z telefonem dużo łatwiej – objaśniał Władysław.

– Jedzcie już proszę, bo rosół wystygnie – wtrąciła się Małgosia.

Nastąpiła chwila przerwy w rozmowach i goście zajęli miejsca przy stole w ciasnym saloniku niewielkiego mieszkanka.

– Władysław, a to wasze centralne to chociaż daje trochę ciepła? Bo ja tam sobie bez pieców nie wyobrażam życia. – zagadnął brat.

– A pewnie, że grzeje – mówiąc to, Władysław wymownie dotknął kaloryfera pod oknem – Czasem nawet

za mocno, bo koks ma dużą moc ciepła, a mieszkanko małe. Wystarczy, że rano rozpalimy, a potem już tylko ze cztery razy dorzucić trzeba i cały dzień jest ciepło. Nie to, co przy piecach kaflowych – mówił gospodarz bez wątplenia znający się na rzeczy.

– A słyszałem, że w Ameryce to już wszędzie prądem grzeją. Tylko pstryk i już jest ciepło.

– No tak, ale w tej Ameryce to tańszy prąd mają, a u nas to by człowiek z torbami poszedł... – Władysław pokazywał, że rozważał i tę możliwość.

– Tam to ludzie więcej zarabiają, a i o swoje upomnieć się mogą, a u nas to jak kto głowę podniesie, to od razu bezpiekę na niego nasyłają – ściszone głosem powiedział jeden z gości. – A jak wszyscy się zbuntują, to czołgami zaczną strzelać, jak to u nas było ze dwa roki nazod. A nie ciągal cię za to, żeś niszczył te ich zagłuszarki, Władysław?

Wywołany tylko cicho mruknął:

– Ty lepiej nie wywołuj wilka z lasu, jak mnie chcesz jeszcze przy życiu widzieć.

– Ale nam chyba możesz powiedzieć jak to było w tym czerwcu 1956. Prosimy.

Władysław nie dał się długo prosić i rozpoczął swoją opowieść:

– Było nas kilku. Biegiem wspinaliśmy się po schodach wielkiego gmachu Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Dźwigaliśmy młoty, kilofy, łomy i inne narzędzia. Zza przymkniętych drzwi podglądały nas wystraszone urzędniczki. Ze zmęczenia ciężko sapaliśmy. Wreszcie stanęliśmy na ostatnim piętrze, obok drabinki umieszczonej pod wjazdem na dach. Ktoś powiedział, żebym to ja szedł pierwszy. Poszedłem więc i z wielkim wysiłkiem napałem na klapę ramieniem. Ta zgrzytnęła i zaczęła się powoli unosić. Po chwili przekroczyła punkt równowagi i teraz musiałem ją przytrzymywać, aby nie spadła z hukiem.

Wszyscy wyszli za mną na dach. Wokół roztaczał się widok na śródmieście Poznania. Jednak nie był to zwykły dzień. Z dala słyhać było głośne nawoływania. Co pewien czas padały strzały. Zobaczyliśmy, jak tłum ludzi walił na Kochanowskiego.

– Szli na ubecję – mruknął któryś z słuchaczy.

– Wzięliśmy się do roboty – kontynuował Władysław. – Ci, co byli ze mną, podeszli do wielkich anten i zaczęli przy pomocy przyniesionych narzędzi odrywać je od mocowań na dachu. Gdy tylko to się udało, jedną z nich przenieśli do krawędzi dachu. Wychyliłem się i głośno krzyknąłem w kierunku chodnika, że zaraz zleci rolwaga. Przechodnie spojrzeli w górę i posłusznie oddalili się od tego miejsca, gdzie miała runąć antena. Mogliśmy zrzucić. Po chwili przedmiot z hukiem uderzył w chodnik rozsypując się na drobne części. Gdy tak wyrzucaliśmy jedną antenę za drugą, któryś z kolegów wskazał ręką w głąb ulicy mówiąc, że widzi patrol wojskowy, więc czym prędzej ruszyliśmy z powrotem w kierunku włazu. Tym razem ja byłem ostatni. Przede mną podążało dwóch innych. W pewnej chwili z dołu klatki schodowej usłyszeliśmy krzyki: „Stać! Ręce do góry!”. Zatrzymałem się, chociaż zza krawędzi schodów nie widziałem kto wydawał polecenia. Za to Franek, który był przede mną, nie posłuchał rozkazu i pędem ruszył z powrotem w moim kierunku. Rozległ się potworny huk. Franek zachwiał się i padł na schody. W tym czasie ja już skręciłem w boczne odgałęzienie korytarza. Zauważyłem uchylone drzwi jednego z biur. Gdy się do nich zbliżyłem, te otwały się, wpuszczając mnie do środka i od razu zamykając się za mną. Kobiety w pokoju poprowadziły mnie za szafę, gdzie dostałem szklankę wody. Po chwili usłyszałem słowa urzędniczki, która pełniła dyżur przy drzwiach, że ten, co go postrzelili, zginął na miejscu, a dwóch innych aresztowali.

Kiedy Władysław skończył, goście jakby posmutnieli i przycichli.

– Może z tym Gomułą to jakoś pójdzie lepiej? – odezwał się nieśmiało Zdzisiek.

– Nigdy w życiu! To taki sam komuch jak Bierut i inni. Tylko Moskwy słucha. Włączcie sobie tylko tę Wolną Europę, to wam się oczy otworzą – zdecydowanie powiedział Władysław.